OTA PAVEL

ŚMIERĆ PIĘKNYCH SAREN

Teatr im. Jana Kochanowskiego

45–056 OPOLE
PLAC TEATRALNY 12

DYREKTOR NACZELNY I ARTYSTYCZNY
JAN FEUSETTE

ZASTĘPCA DYREKTORA
WIESŁAW SIERPIŃSKI

KIEROWNIK MUZYCZNY
ANDRZEJ ZARYCKI

OTA PAVEL

ŚMIERĆ PIĘKNYCH SAREN

(smrt krásných srnců)

MONODRAM
w wykonaniu
JACKA DZISIEWICZA

PRZEKŁAD
ANDRZEJ PIOTROWSKI
JÓZEF WACZKÓW

ADAPTACJA
JAN FEUSETTE

REŻYSERIA
WOJCIECH ZEIDLER

SCENOGRAFIA
ANDRZEJ RAFAŁ WALTENBERGER

MUZYKA
WOJCIECH GŁUCH

SUFLER
TERESA ZIELIŃSKA

AKUSTYK
RYSZARD BALCER

OPERATOR ŚWIATŁA
KAZIMIERZ MAROSZ

PREMIERA LUTY 1993
WZNOWIENIE INSCENIZACJI Z 1985 r.

Jan Feusette

Bądź odważny: pamiętaj

Wiele powiastek Pavla, gdyby je opowiedzieć bez istotnych kontekstów, stałoby się zaledwie sympatycznymi wspominkami o chłopięcych przygodach wędkarskich z równie sympatyczną i barwną postacią Tatusia. Proza Pavla jest jednak znacznie bardziej dramatyczna. Żeby nas o tym przekonać, aktor musi powołać do życia więcej magii, niż da się pomieścić w monodramie „przy stoliku" – tak staje się... teatr jednego aktora.

Wydany w Państwowym Instytucie Wydawniczym zbiór prozy Pavla zamyka krótki tekst Epilogu. Po przeczytaniu, gdyby nie biograficzne informacje na skrzydełku obwoluty, właściwie należałoby zacząć lekturę od nowa. Dlatego w naszej adaptacji wyprowadziliśmy niektóre fragmenty Epilogu na początek spektaklu. Chcieliśmy od razu uświadomić, o co toczy się gra: bo przecież nie tylko o zapis tęsknoty za starym, dobrym światem dzieciństwa. Narrator nie jest jowialnym panem, który pykając fajeczkę wspomina dawne wędkarskie przewagi. Jest trzydziestoparoletnim dziennikarzem, którego światowe życie brutalnie przerwał tragiczny rozpad osobowości. Chce pozbierać okruchy własnego „ja", jakie zostały po nagłej detonacji świata. Z chwilą kiedy tak spojrzymy na postać bohatera tej prozy, łatwiej zrozumiemy, skąd tyle w tych pozornych sielankach poszukiwania prawdziwej mocy i odwagi. Nawet w najtragiczniejszych chwilach wojny, wobec perspektyw nieuchronnej niemal śmierci najbliższych, widzi Pavel przede wszystkim decydujące o godności ludzkiej mężne spojrzenie na świat, na przeciwności losu.

Wszystko niemal (jak choćby te wspaniałe złote węgorze), co składa się tu na świat wspomnień, pozostając prawie dotykalnie realne, przekracza jednocześnie swój własny, konkretny wymiar, staje się wartością, symbolem, tworzy wokół siebie własną mitologię. I nie ma w tym nic sztucznego, bo przecież jest to gra serio, gra o życie, o hart życia, o scalenie rozsypanego świata.

Dla literatury była to na pewno gra zwycięska; dla pisarza, jak wiemy z jego biografii, nie była dostatecznym argumentem...by żyć. Zmarł zaraz po napisaniu tak przecież, wbrew wszystkiemu, optymistycznego Epilogu.

Fragmenty tekstu pomieszczonego w programie do przedstawienia z 1985 roku.

JACEK DZISIEWICZ

w Teatrze im. J. Kochanowskiego w Opolu

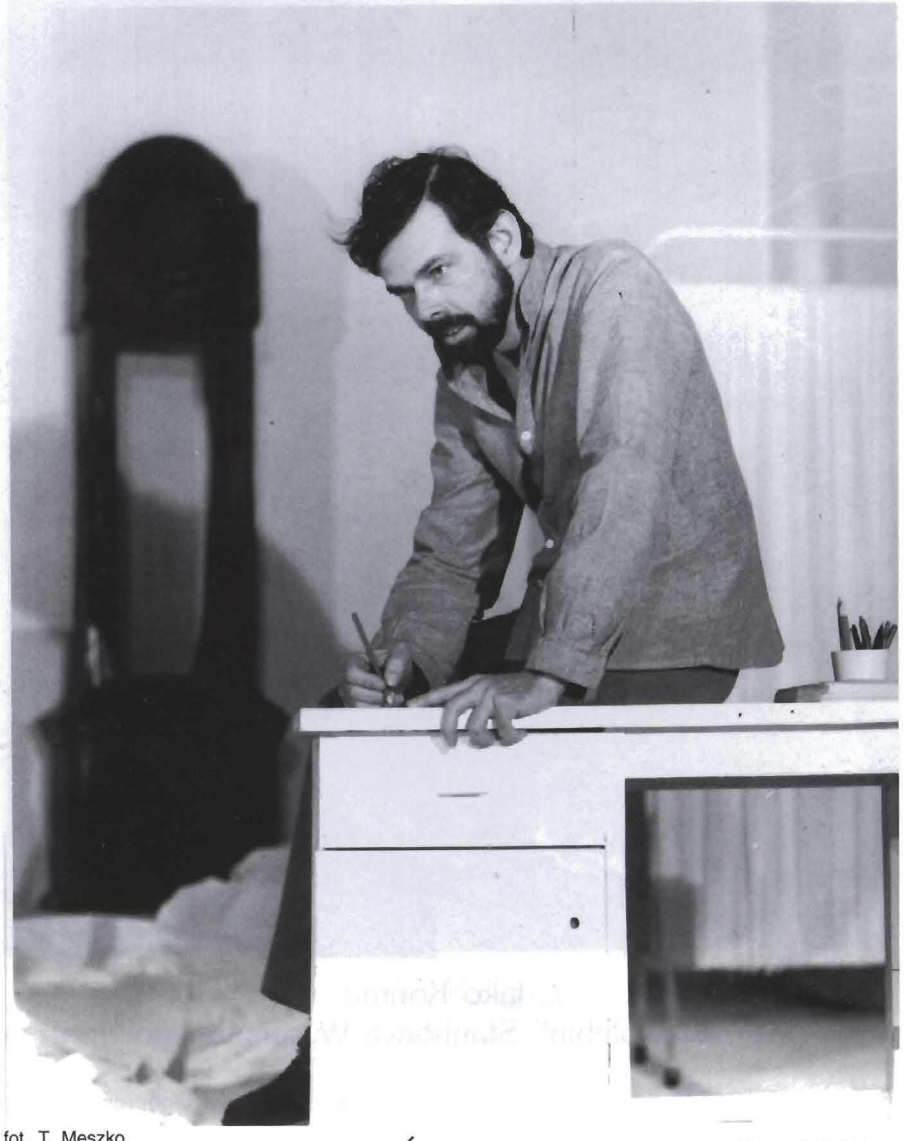

fot. T. Meszko

... w „Śmierci pięknych saren" z 1985 r.

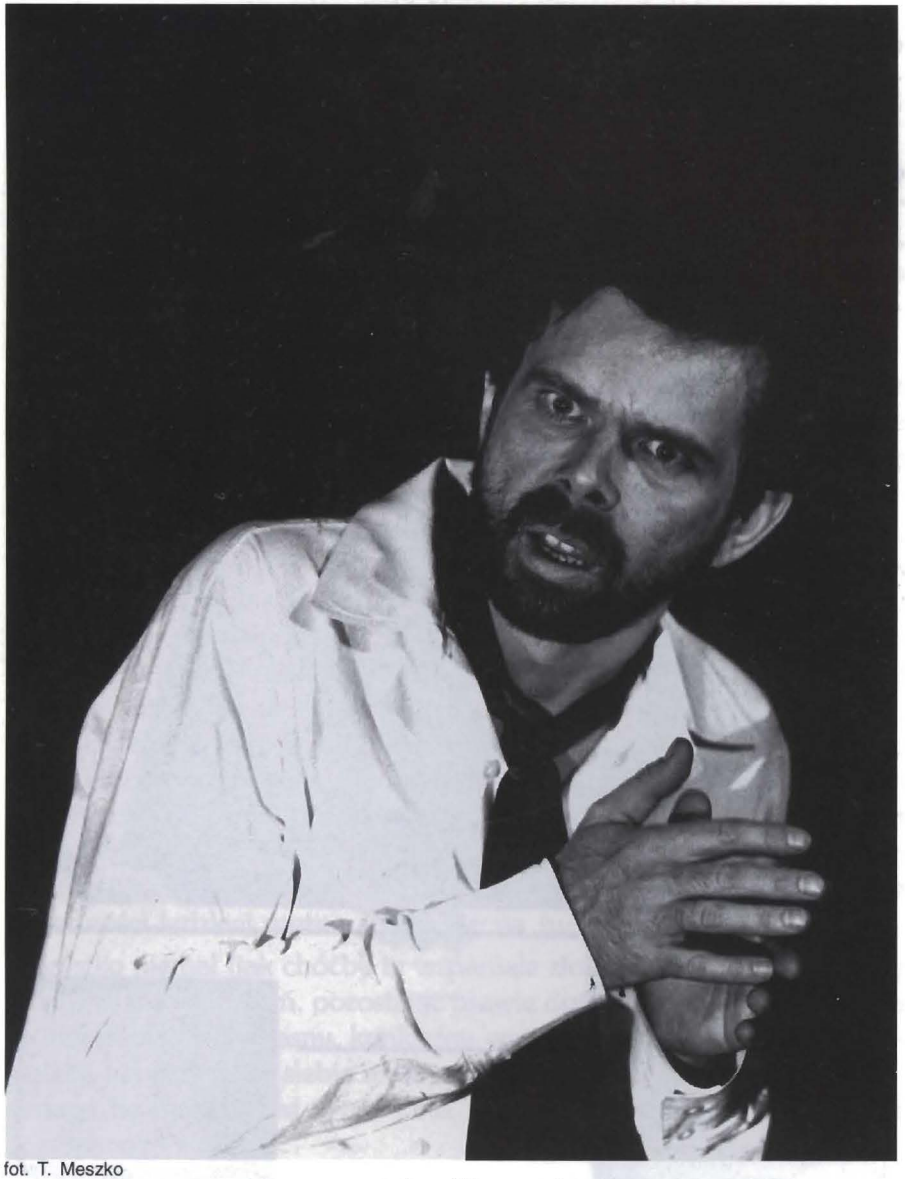

fot. T. Meszko

... jako Konrad
w „Wyzwoleniu" Stanisława Wyspiańskiego

Nagroda na XII Ogólnopolskich
Konfrontacjach Teatralnych

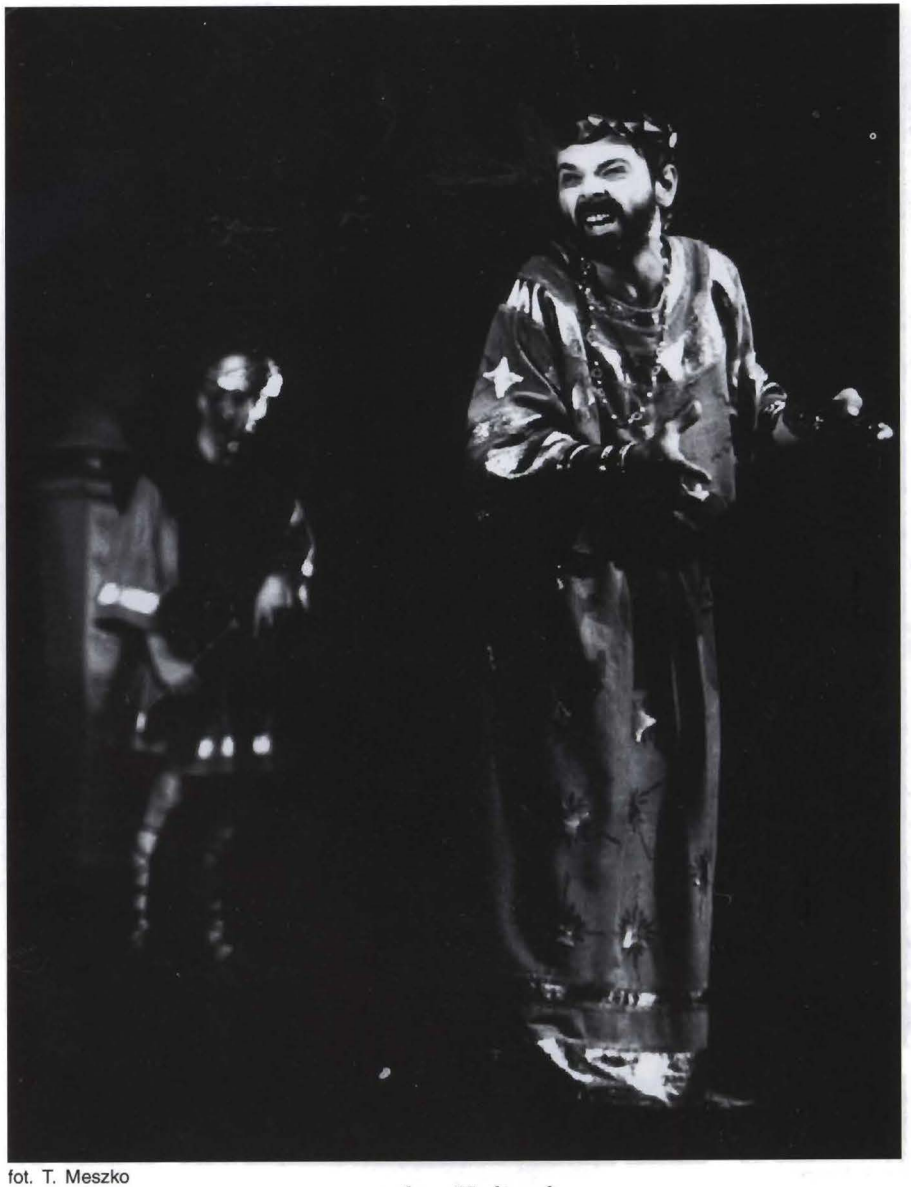

fot. T. Meszko

... jako Kaligula
w dramacie „Kajus Cezar Kaligula" K. H. Roztworowskiego

Nagroda na XI Ogólnopolskich
Konfrontacjach Teatralnych

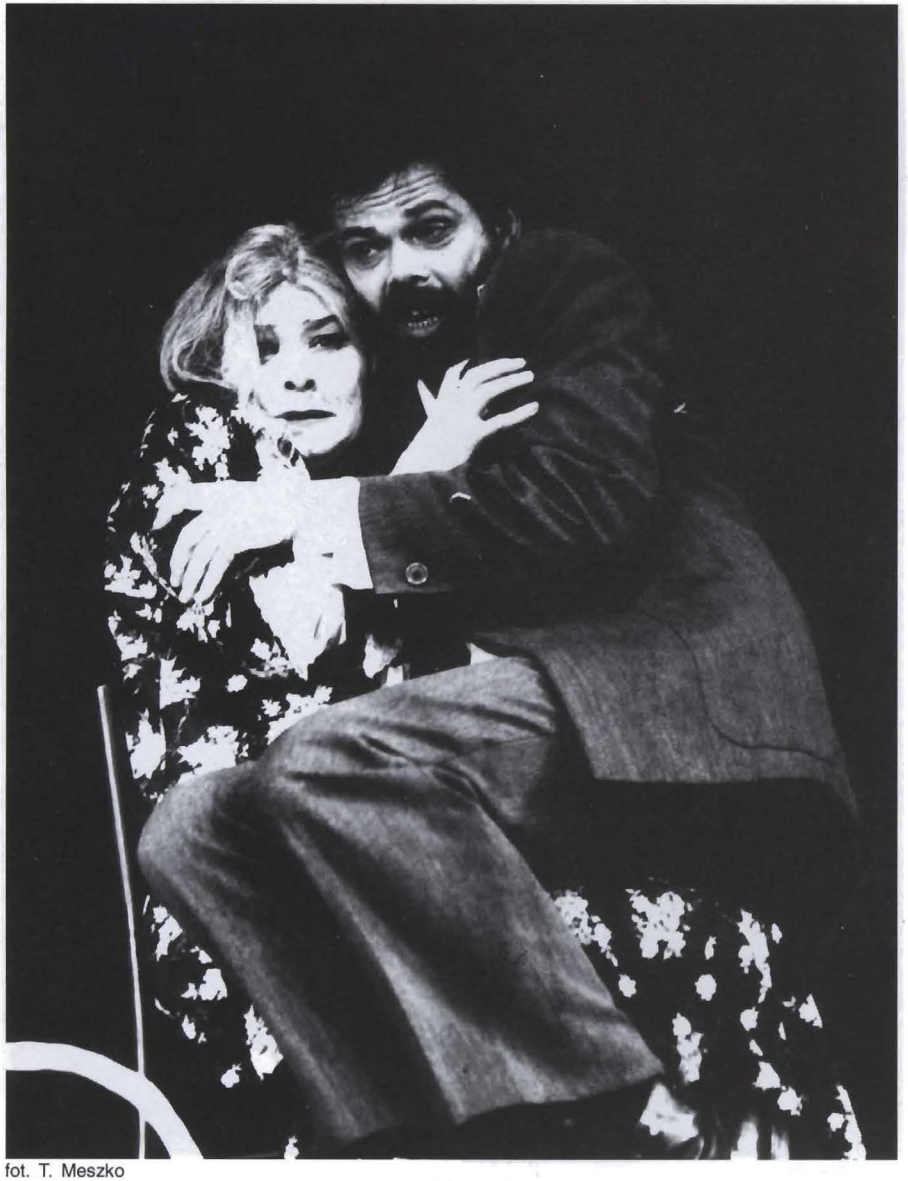

fot. T. Meszko

... jako Leon Węgorzewski obok Lidii Maksymowicz
w „Matce" St. I. Witkiewicza z 1985 roku

fot. T. Meszko

... jako Patryk
w sztuce „Dom, który zbudował Jonathan Swift"
Grigorija Gorina z 1985 roku

Epilog

Dostałem pomieszania zmysłów na zimowej olimpiadzie w Insbrucku. Mózg mi się zaćmił, jak gdyby stanęła mgła z Alp. Zobaczyłem pewnego pana jako diabła w całej okazałości, miał rogi, kopyta, sierść i wiekowe spruchniałe zęby. Potem poszedłem w góry nad Insbruckiem, żeby podpalić zabudowania wiejskie. Byłem przekonany, że taka wielka jasność rozproszy mgłę. Wyprowadziłem już krowy i ogiery ze stajni, żeby nie spłonęły, kiedy dopadła mnie austriacka policja. Założyli mi kajdanki i poprowadzili w dolinę. Wymyślałem im, zdarłem z nóg buty i szedłem po śniegu boso jako Chrystus, którego prowadzą na krzyż.

Wysłano mnie przez Dworzyszcze do praskich lekarzy.

Ten pierwszy okres nie był dla mnie osobiście straszny, był straszny dla moich bliskich, którzy mnie obserwowali. Właściwie to czułem się błogo i wykonywałem wszystko z pasją i przekonaniem. Czasem to nawet było przyjemnie, pięknie jest być błogosławiącym Chrystusem.

Najgorzej, gdy za pomocą proszków doprowadzą człowieka do stanu, w którym zdaje sobie sprawę, że jest wariatem. Oczy zasnuwa smutek, człowiek już wie, że nie jest Chrystusem, ale biedakiem, któremu brak zdrowych zmysłów, czyniących z człowieka człowieka. Siedzieć trzeba za wzmocnionymi kratami, choć nikogo się nie zabiło i nikogo nie skrzywdziło. Jest się skazanym bez sądu. Ludzie na zewnątrz sobie żyją i zaczyna się im zazdrościć.

Tylko cudem może z niego wyjść. Pięć lat czekałem na ten cud. Siedzisz samotnie na krześle przez całe tygodnie, miesiące lata. Nie mogę twierdzić, że cierpiałem jak zwierzę, bo nikt nie wie, jak zwierzę cierpi, choć tak często o tym opowiada się i pisze. Wiem tylko, że cierpiałem potwornie, tego nie da się wypowiedzieć. A zresztą nikt by w to nawet nie uwierzył, ludzie nie chcą słyszeć o tej chorobie, bo się jej strasznie boją.

Kiedy czułem się lepiej myślałem o tym, co było w życiu najpiękniejsze. Nie myślałem o miłości ani o tym, że się włóczyłem po świecie. Nie myślałem o nocnych lotach przez oceany ani o tym, jak grałem w praskiej Sparcie w kanadyjskiego hokeja. Chodziłem znowu na ryby – nad potoki, rzeki, stawy i przegrody i uzmysłowiłem sobie, że najpiękniejsze, co na świecie przeżyłem, to było właśnie to.

Czemu owe chwile były najpiękniejsze?

Nie potrafię tego jasno wytłumaczyć, ale postarałem się znaleźć odpowiedź pisząc moje wspomnienia. Wiem, że nie

zawsze przychodziło mi na myśl, gdzie jaką rybę złowiłem i ile miała od pyska do ogona, ale przypominało mi się wszystko, co się z rybami wiązało. Przede wszystkim, jak szedłem czy jechałem na ryby. Na Żeliwce jeździłem nad potok z pstrągami rozklekotanym rowerem, kiedy ludzie jeszcze spali. Wszystko było jak w olbrzymim teatrze przyrody. Trawa i pola lśniły od rosy, śpiewały ptaki a pod lasem pasły się sarenki, które już mnie znały. Kiedy dojeżdżałem do tego pięknego potoku, byłem pełen pokory, nabierałem wody w dłonie i miałem ochotę się przeżegnać, ale nigdy tego nie zrobiłem. Przypominała mi się sterczącа nad Janowem tama, gdzie ze swoją mamą Herminą łapałem pstrągi wielkie jak karpie, a woda była zielona jak trawa na łąkach niebieskich, o których marzyłem. Najczęściej przychodziło mi na myśl Krzywoklackie. Młyn Nezabudicki z nie gasnącym nigdy światełkiem, które jaśniało kłusownikom i żandarmom. Tajemnicze węgorze z gadzimi oczkami, ciągnące tędy jak opętane w swojej wędrówce z mórz i oceanów. Ciekawe, że wiele rzeczy z mego życia się ulotniło, ale ryby w nim pozostały. Były związane z przyrodą, wśród której nie telepie się ludną ulicą śmiesznie podrygujący tramwaj cywilizacji. Dzisiaj już wiem, że wiele ludzi chodzi nie tyle na ryby, co żeby móc jak w dawnych czasach pozbyć się samotności, posłuchać krzyku ptaków i zwierząt i szelestu spadających liści jesiennych. Kiedy tam tak powoli umierałem, widziałem przede wszystkim rzekę, która w moim życiu znaczyła najwięcej i którą kochałem. Kochałem ją do tego stopnia, że zawsze przed łowieniem nabierałem jej wody w muszlę dłoni i całowałem ją, jak się całuje kobietę. Potem resztę wody rozbryzgiwałem po twarzy i dopiero wtedy składałem wędkę. Przede mną płynęła rzeka. Niebo człowiek widzi, las może przepatrzeć, ale prawdziwej rzeki nigdy nie przejrzy. Do prawdziwej rzeki zagląda się jedynie wędką.

Kiedy tak czasem siedziałem przy zakratowanym oknie i łowiłem przy wspomnieniach ryby, było to piękne aż do bólu. Musiałem wtedy odwracać się od tego piękna i myśleć, że na świecie są również brudy, paskudztwa i mętne wody – po to, żebym nie tęsknił za wolnością.

Wreszcie doszedłem do tego właściwego słowa: wolność. Rybołówstwo to przede wszystkim wolność. Iść całe kilometry za pstrągami, pić wodę ze źródeł, być samotnym i wolnym przynajmniej godzinę, dzień albo nawet tygodnie i miesiące. Wolnym od telewizji, gazet, radia i cywilizacji.

Dziesiątki razy chciałem odebrać sobie życie, gdy nie mogłem dłużej wytrzymać, ale nigdy tego nie zrobiłem. Pewnie w podświadomości pragnąłem jeszcze jeden raz pocałować usta rzeki i łowić srebrne ryby. To właśnie jako rybak nauczyłem się cierpliwości, a wspomnienia pomagały mi żyć.

Ota Pavel, „Śmierć pięknych saren", PIW 1976.

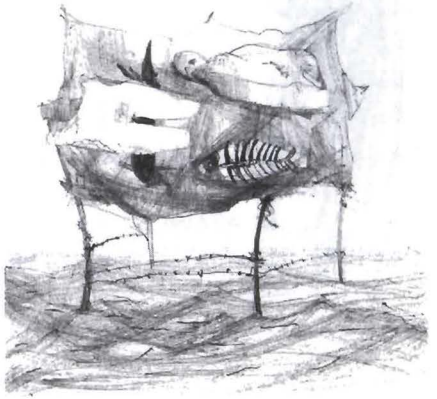

W REPERTUARZE

MAŁA SCENA
wg. A. Czechowa
BENEFIS
prem. X 1992

DUŻA SCENA
Terence Rattigan
ARLEKINADA
prem. XI 1992

Juliusz Słowacki
KORDIAN
prem. X 1992

H. Ch. Andersen
KRÓLOWA ŚNIEGU
premiera I 1993

SCENA ESTRADOWA
NIE KOCHAĆ W TAKĄ NOC TO GRZECH
prem. XII 92

w przygotowaniu
DUŻA SCENA
Stanisław I.Witkiewicz
MĄTWA-PRAGMATYŚCI

SCENA NA PARTERZE
Ota Pavel
„ŚMIERC PIĘKNYCH SAREN"

MAŁA SCENA
K. Wierzyński
„TOWARZYSZ PAŹDZIERNIK"

Kierownik techniczny	– **Leszek Warmuzek**
Główny mechanik	– **Ireneusz Podhalański**
Kierownik Biura Obsługi Widzów i impresariatu	– **Iwona Czerwieńska**
Koordynator pracy artystycznej	– **Joanna Jarosz**
Konsultant programowy	– **Jan Nowara**

PRACOWNIE TECHNICZNE – KIEROWNICY

Krawiecka	– **Teresa Kawa, Kazimierz Birecki**
Stolarska	– **Bernard Szolc**
Malarsko-modelatorska	– **Bernard Kołodziejczyk**
Oświetleniowa	– **Grzegorz Cwalina**
Akustyczna	– **Jarosław Piechowiak**
Perukarska	– **Paweł Stelmach**
Ślusarska	– **Zbigniew Rudawy**
Rekwizytor	– **Krystyna Marosz**

Projekt plastyczny programu – Halina FLEGER
Redakcja programu – Jan NOWARA
Biuro Obsługi Widzów, Plac Teatralny 12, tel. 359–41, 390–82
przyjmuje zbiorowe zamówienia na bilety.

Skład, łamanie i montaż elektroniczny: VOGAR, Opole, tel. 35616
Druk: Przedsiębiorstwo Poligraficzne Kaleta & Lucyga, Namysłów, tel. 426

cena zł **10 000,–**

Teatr im. Jana Kochanowskiego